

## Kolaż rodzinny z poezją, wojną i antysemityzmem w tle

Recenzja: T. Lubelski,  
*Hollender tułacz*,  
Universitas, Kraków 2023.

Łukasz Kiełpiński

TEKSTY DRUGIE 2026, NR 1, S. 194–202

DOI: 10.18318/td.2026.1.11 | ORCID: 0000-0003-4977-9089

**K**siążka *Hollender tułacz* to nie tyle owoc kultywowanej przez dekady pamięci o przodku, ile efekt niemalże kompulsywnego rozmyślenia od lat o członku rodziny, którego się nigdy osobiście nie poznało, więc trzeba go było samodzielnie uobecnić. Tadeusz Lubelski, emerytowany już profesor filmoznawstwa, związany z Instytutem Sztuk Audiowizualnych Uniwersytetu Jagiellońskiego, w nowej książce odchodzi od zwyczajowego tematu badań, powracając do pasji, która poprzedzała jego zainteresowanie kinem – literatury. Podejście, jakie obiera autor, jest jednak szczególnie, ponieważ i sam temat jest dlań wyjątkowy. Pisze on bowiem o swoim wuju Tadeuszu Hollenderze, poecie, tłumaczu poezji ukraińskiej i satyryku okresu międzywojnia oraz drugiej wojny światowej.

*Hollender tułacz* to pozycja, której powstanie było poniekąd podyktowane koniecznością uporania się z nawracającą pamięcią o nigdy niepoznanym przodku. Już na pierwszej stronie książki autor przyznaje, że nie tyle pamięta o Tadeuszu Hollenderze, ile myśli o nim

### Łukasz Kiełpiński

– mgr, doktorant w Szkole Doktorskiej Nauk Humanistycznych UW, związany z Instytutem Kultury Polskiej UW, gdzie w ramach grantu MNiSW „Perły nauki” przygotowuje rozprawę doktorską poświęconą filmowym praktykom diarystycznym. Interesuje się stykiem filmu i filozofii, psychoanalizą oraz teoriami afektów. Członek Collegium Invisible. Kontakt: l.kielpinski@uw.edu.pl.

przynajmniej raz dziennie, od wielu lat – „w pokoju, w którym siadam do komputera, na przeciwległej ścianie wisi jego portret [...]. Ilekroć więc odwracam się od biurka – widzę go [...]. Bywa wtedy, że nasze spojrzenia się spotykają. I wtedy czasem czuję: on czegoś się domaga” (s. 9). Swoją odpowiedź na rzucane przez wuja wyobrażone wyzwanie autor dodatkowo uzasadnia otwierającym książkę cytatem z eseju *Cnota zapomniana* Czesława Miłosza, w którym noblista również upomina się o pamięć o poecie: „Dowiedywałem się. Nikt nie pamięta nazwiska Tadeusz Hollender. A przecie jeżeli gruba kreska przyczyniła się do zapomnienia o wielu dawnych niegodziwościach, dlaczego mamy zapominać o cnotach?”. Książka *Hollender tułacz* to zatem próba interwencji w pamięć zbiorową i odzyskania dla niej tego, o którym niesłusznie zapomniano, próba tym bardziej uzasadniona, że postać Tadeusza Hollendera nie doczekała się jeszcze osobnej monografii, a poświęcone mu dotychczas teksty to stosunkowo nieliczne, krótkie artykuły rozsiane po czasopiśmie.

Nie sposób zaprzeczyć istotnej roli, jaką odegrał w polskiej kulturze okresu międzywojnia Tadeusz Hollender – urodzony 30 maja 1910 roku w Leżajsku poeta, satyryk, współzałożyciel „Sygnałów” oraz późniejszy współpracownik „Szpilek”, „Głosu Powszechnego” (później „Dziennika Ludowego”) oraz krakowskiego „Albo-albo”, rozstrzelany 31 maja 1943 roku w Warszawie przez nazistów. Wśród istniejących już wcześniej tekstów poświęconych wyłącznie tej postaci szczególnie warte uwagi są wstępy do kilku wydań wyborów poezji Hollendera autorstwa Pawła Bema, Aleksandra Maliszewskiego czy Stefanii Skwarczyńskiej. Warto również przypomnieć artykuł Wiktora Trościanki pod tytułem *Hollender tułacz*, opublikowany w „Kronice” z 1946 roku, trzy lata po śmierci poety, z którego Lubelski zaczerpnął tytuł do swojej książki. Ta stosunkowo niewielka liczba materiałów poświęconych Tadeuszowi Hollenderowi nie oznacza bynajmniej, że funkcjonował on poza kręgiem kluczowych środowisk literackich. Jak się bowiem okazuje podczas lektury książki *Hollender tułacz*, historii głównego bohatera nie sposób opowiedzieć bez pokazania szerszego środowiska młodoliterackiego z okresu międzywojnia. Z pewnością wielką zaletą nowej książki Tadeusza Lubelskiego jest to, że nie stanowi ona jedynie opisu jednostkowej biografii, lecz składa się na nią cały pejzaż miłości, przyjaźni, znajomości oraz współprac, które kwitły wśród ówczesnych literatów i poetek, a których częścią był również tytułowy bohater omawianej tu książki.

Zarysowanie tak silnie relacyjnej historii Hollendera było możliwie między innymi dzięki obszernemu czerpaniu z materiałów epistolograficznych.

Chociażby w rozdziale jedenastym autor przytacza nieznaną dotąd listy Marii Kuncewiczowej do Tadeusza Hollendera. Tę dwójkę – jak konstataje Lubelski – w połowie lat trzydziestych XX wieku musiała łączyć zażyła, choć platoniczna, relacja. Kilka rozdziałów dalej autor wprowadza nas w być może najważniejszą relację romantyczną w życiu Tadeusza Hollendera, jaka łączyła go w pewnym okresie z polską aktorką żydowskiego pochodzenia Ryszardą Hanin. Po wojnie stanie się ona znaną aktorką teatralną i filmową, która wystąpi między innymi w: *Drzwiach w murze* (1973) w reżyserii Stanisława Różewicza, do którego tenże napisał scenariusz wraz ze swoim bratem Tadeuszem Różewiczem, *Nocach i dniach* (1975) w reżyserii Jerzego Antczaka, *Seksmisji* (1983) w reżyserii Juliusza Machulskiego i wreszcie w filmie *Jeszcze tylko ten las* (1991) w reżyserii Jana Łomnickiego, za który otrzymała na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni nagrodę dla najlepszej aktorki pierwszoplanowej. Przez biografię Tadeusza Hollendera przewija się w pewnym momencie nawet Zofia Rydet, jedna z najważniejszych polskich fotografek XX wieku, z którą w czasach gimnazjalnych dzielił stancję. Z kolei w okresie studiów na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie – gdzie Hollender najpierw studiował prawo, a następnie polonistykę – wykładowcami poety byli między innymi Juliusz Kleiner, Leon Chwistek czy Kazimierz Ajdukiewicz.

Zagęszczenie kontaktów ze środowiskiem młodoliterackim przypada na kluczowy moment w życiu Hollendera, kiedy w 1933 roku zakłada czasopismo „Sygnały”. To w kontekście tego miesięcznika – a z czasem dwutygodnika – najczęściej pojawiało się do tej pory nazwisko głównego bohatera w rozmaitych opracowaniach. Razem z Karolem Kurylukiem oraz Haliną Górską (uczennicą Stefanii Sempołowskiej) stanowił on trzon redakcji pisma, do którego pisali później między innymi Bruno Schulz, Leopold Staff, Beata Obertyńska, Bolesław W. Lewicki, Józef Wittlin, Jan Parandowski, Kornel Makuszyński, wspomniany już Juliusz Kleiner, Kazimierz Twardowski czy Karol Irzykowski. Na łamach „Sygnałów” publikował wreszcie mistrz Tadeusza Hollendera Julian Tuwim, któremu główny bohater książki zadedykował obydwa swoje wydane tomy poezji. Pierwszy z nich zresztą niekiedy krytykowano właśnie za nadmierne zapożyczenie się w skamandryckiej stylistyce.

Korespondencja Hollendera z autorami publikującymi w „Sygnałach” to z pewnością jedno z najciekawszych źródeł archiwalnych, do jakich dotarł autor. Lubelski przytacza obszernie fragmenty korespondencji wymienianej z Schulzem, Wittlinem, Tuwimem czy Miłozsem. Szczególnie poruszający jest bardzo osobisty list Józefa Wittlina do Tadeusza Hollendera, który Tadeusz Lubelski zdecydował się przytoczyć w całości. W sposób przejmujący

wybrzmiewa w nim różnica wrażliwości między pokoleniem starszego o czternaście lat autora *Soli ziemi* a pokoleniem Hollendera oraz wczesna (list pochodzi z 1934 roku) antycypacja nadchodzącej drugiej wojny światowej: „Wasze życie jest ciężkie i może nawet beznadziejne, ale to, co Was czeka, czeka i nas, z tą różnicą, że dla nas może się powtórzyć to, co dla Was będzie nowością” (s. 207).

Już samo wyliczenie osób, które publikowały w „Sygnałach”, oddaje do pewnego stopnia istotę roli, jaką czasopismo to odgrywało w Polsce w latach trzydziestych XX wieku. Ambicje Hollendera od początku były ogromne – chciał bowiem współtworzyć periodyk o randze porównywalnej do „Wiadomości Literackich” lub nawet lepszy. Połowa lat trzydziestych XX wieku była zresztą okresem wzmożonej aktywności i sukcesów Hollendera, co z pewnością podsycalo jego wygórowane ambicje. W roku 1933, a więc w roku założenia „Sygnałów”, został wyróżniony w konkursie poetyckim Polskiego Radia, a rok później w Turnieju Młodych Poetów ogłoszonym przez „Wiadomości Literackie” otrzymał za wiersz *Stulecie* pierwszą nagrodę (*ex aequo* z Anną Świrszczyńską i Karolem Husarskim). Sława młodego poety sprawiła, że Teodor Parnicki w 1934 roku pisał w liście do Konstantego Simonolewicza: „zobaczy Pan, on jeszcze będzie figurował w historii literatury jako czołowy poeta drugiego piętnastolecia Polski Odrodzonej, tak jak Tuwim był pierwszego” (s. 210).

Mimo rozmaitych kontekstów historyczno-literackich, których nie sposób pominąć, opowiadając o życiu Tadeusza Hollendera, Lubelskiemu przez cały czas udaje się zachować intymną i osobistą perspektywę. Ostrożnie, unikając popadania w sentymentalizm, nie ukrywa on jednak, że opowiada o kimś szczególnie bliskim. Autor nigdy nie poznał Tadeusza Hollendera osobiście (urodził się siedemnaście lat po jego śmierci), jednak często słyszał o nim przy rodzinnych obiadach. Poznawał też wiersze poety, które recytowała mu matka. Wyobrażenie o tym, kim był Tadeusz Hollender, musiało więc towarzyszyć autorowi książki od samego dzieciństwa. To z kolei naturalnie stwarza ryzyko idealizacji tej postaci i odmalowania raczej laurki dla Hollendera niż jego wiernego portretu. A jednak udaje się tego uniknąć. Lubelski od początku gra w otwarte karty i prowadzi czytelniczkę przez kolejne etapy podjętego śledztwa mającego na celu rekonstrukcję życia Tadeusza Hollendera. Na bieżąco sygnalizuje, jaka praca archiwalna stała za dotarciem do konkretnych informacji, jaka rozmowa doprowadziła do danej konkluzji i wreszcie jaka postać czy wspomnienie rodzinne pozwala zakładać, że odtwarzane wydarzenia wyglądały tak, a nie inaczej. W efekcie sposób przedstawienia sylwetki

Tadeusza Hollendera to ani laurka, ani realistyczny portret, ale raczej kolaż, na który składają się różnorodne źródła – od archiwalnych numerów czasopism literackich okresu międzywojnia, przez osobiste rozmowy z ostatnimi żyjącymi osobami, które znały Hollendera, aż po ulotne, rodzinne wspomnienia.

Formie opowieści, jaką snuje Tadeusz Lubelski, najbliższej do eseju biograficznego, w którym „ja” autora znajduje się na pierwszym planie, lecz jest ono skupione przede wszystkim na rekonstrukcji losu i charakteru głównego bohatera. Książka ma zarazem charakter „opowieści rodzinnej” – autor jest siostrzeńcem tytułowego bohatera i często odwołuje się do tego, jak mówiono o nim przy rodzinnym stole oraz jakie anegdoty z jego życia przywoływano. Lubelski stara się jednak trzymać swoją wyobraźnię na wodzy, nie pozwalając sobie na uzupełnianie archiwalnych luk własną projekcją czy fantazją (a jeśli tak się zdarza, to autor zawsze to jasno sygnalizuje). Ta metodologiczna rzetelność to prawdopodobnie kwestia zinternalizowanego akademickiego ryguru, który wszedł autorowi w krew przez wiele dekad pracy w uniwersyteckich murach. Nie znajdziemy tu bowiem elementów tzw. literatury *faction*, choć w pewnym momencie autor przyznaje, że z wielką przyjemnością puściłby wodze fantazji – „Z jaką przyjemnością zmieniłbym konwencję i wymyślił dla nich ten konspiracyjny tydzień!” (s. 289).

Autor skrupulatnie prowadzi czytelnika przez proces zbierania kolejnych brakujących elementów archiwalnej układanki. Dzięki temu książkę momentami czyta się wręcz niczym powieść detektywistyczną, w której nie brak niezwykłych zbiegów okoliczności i cudownych pomyłek. Wśród nich jest niesamowita historia dotarcia do jedyne go istniejącego (!) egzemplarza *Śpiewów dla Ewy*, tomiku satyrycznego, który miał być prezentem umilającym wigilię 1942 roku w warszawskim domu na Ikara 5 – jednym z wielu miejsc, gdzie przechowywano zagrożonych i ściganych oraz gdzie kwitła działalność podziemna podczas drugiej wojny światowej. Unikatowy tomik wpadł w ręce Tadeusza Lubelskiego dzięki pomyłce w źródłach, które mówiły, że poeta i satyryk żył w Warszawie pod adresem Ikara 13, a nie jak było naprawdę, pod adresem Ikara 5. Ale to właśnie dzięki zapukaniu w 2018 roku przez pomyłkę do domu przy Ikara 13 autor został pokierowany do osób, których rodzinne losy przeplatały się w pewnym momencie z życiem Tadeusza Hollendera. Gdyby autor wówczas wybrał się pod właściwy adres, zastałby tam zapewne – jak sam zgaduje – Monikę Jaruzelską. Dom ten został bowiem w 1977 roku kupiony przez generała Wojciecha Jaruzelskiego.

Za sprawą zaproszenia czytelnika za kulisy prowadzonych kwerend budowana opowieść jest nieustannie zawieszona między czasami Tadeusza

Hollendera a czasami Tadeusza Lubelskiego. Ta ciągła oscylacja między przeszłością a terażniejszością oraz między bohaterem książki a jej autorem sprawia, że temat książki wydaje się czytelnikowi bliższy, niż ten mógłby początkowo przypuszczać. Kiedy bowiem mowa jest o hiszpance (na którą prawdopodobnie zmarła babcia Lubelskiego i matka Hollendera), przedstawia się ją w kontekście różnic między ówczesną pandemią a niedawną pandemią koronawirusa. Z kolei gdy pojawiają się wątki ukraińskie, autor przywołuje kontekst trwającej wojny w Ukrainie. W rozdziale trzynastym zostały bowiem opisane związki Tadeusza Hollendera z kulturą ukraińską oraz jego praca poświęcona tłumaczeniu ukraińskiej poezji na język polski. W tej części książki ujawnia się jednak pewna pułapka prezentyzmu, na który momentami pozwala sobie autor, kiedy odsłania współczesną mu perspektywę narracyjną: „Nie mam też wątpliwości, że Hollender byłby dumny z dzisiejszego polsko-ukraińskiego pojednania; porzucenie przez rodaków dawnych uprzedzeń potraktowałyby jako późne zwycięstwo swoich własnych usiłowań”. W tej zaskakująco dziś optymistycznej konkluzji autora dobrze widać, że nawet, wydawałoby się, niedawna współczesność może zdezaktualizować się bardzo szybko.

Najbardziej być może niepokojące połączenie między okresem międzywojnia a współczesnością pojawia się jednak, kiedy autor przywołuje swoją wizytę w Leżajsku, gdzie urodził się Tadeusz Hollender: „Zapytana o «Wyborczą», kioskarka prawie mnie wyzywa. Pani w drugim kiosku na szczęście życzliwsza [...]. Skarżę się na jej koleżankę. – Co pan chce? Taki teren. – odpowiada. – Jak niedawno czytałam leżącą na ladzie «Wyborczą», klientka spytała: A pani co, Żydówka?” (s. 33). Autor kwituje owo zdarzenie refleksją, że kiedy Hollender zakładał przed wojną w okolicznym Lwowie czasopismo „Sygnały”, to zapewne zdarzało mu się wówczas spotykać z podobnymi komentarzami. „Chyba jednak spodziewał się, że kilkadziesiąt lat później jego kraj zmieni się pod tym względem” (s. 33) – dodaje gorzko.

Atmosfera polskiego przedwojennego antysemityzmu to zresztą nieustanne tło losów Tadeusza Hollendera, a sama postać głównego bohatera wcale nie jest w tej kwestii jednoznaczna. Autorowi książki udało się bowiem wzorcowo znarratywizować rozciągniętą w czasie przemianę swojego bohatera, jednocześnie ściśle trzymając się przy tym faktów i archiwalnych świadectw. Wprowadzenie sylwetki głównego bohatera zaczyna się, jak na dzieło filmoznawcy przystało, w istic hitchcockowskim stylu – od trzęsienia ziemi. Zetknięcie się Tadeusza Lubelskiego z najwcześniejszymi zapiskami wuja zaczyna się bowiem od dużego rozczarowania. I nie chodzi tylko o grafomański

charakter pierwszych poetyckich wprawek późniejszego redaktora „Sygnałów” spisywanych na kartach cienkiego zeszytu szkolnego (choć już wtedy dumnie zatytułowanego *Tom I*).

Źródłem kluczowego dla struktury książki, początkowego rozczarowania było zetknięcie się z dziennikiem prowadzonym przez nastoletniego Tadeusza Hollendera w okresie gimnazjalnym. Obecną tam buńczuczność czy pewną megalomanię można by, rzecz jasna, łatwo usprawiedliwić młodzieńczą, chłopięcą butą, z której się zazwyczaj wyrasta. W przytoczonych przez autora fragmentach szczególnie uderzał natomiast żarliwy antysemityzm, którego nie sposób było już tak łatwo zbyć. Lubelski – jako siostrzeniec Hollendera – odnalazłszy dziennik, nie krył zawodu: „antysemicka pasja, zdumiewająca pod piórem tego samego Tadeusza, który już za kilka lat na łamach prasy zacznie gwałtownie Żydów bronić. Skąd mu się brały te młodzieńcze uprzedzenia? Nie z domu, z którym przecież wojował. Zapewne zewsząd, z klimatu towarzyskiego” (s. 62). Jak widać, kłopotliwa treść odnalezionych archiwów zostaje jednak szybko zamortyzowana spostrzeżeniem, że w późniejszych latach Hollender rzeczywiście będzie sam aktywnie zwalczał powszechny antysemityzm – najpierw na łamach coraz bardziej lewicowych lwowskich „Sygnałów”, a następnie za sprawą satyrycznych utworów zamieszczanych w warszawskiej redakcji „Szpilek” powiązanej poniekąd ze środowiskiem PPS.

Ta przemiana nie wydarzyła się jednak z dnia na dzień. Jeszcze na początku swoich studiów prawniczych we Lwowie Hollender brał aktywny udział w antysemickich zamieszkach z początku czerwca 1929 roku zwanych „kłocjadą” (choć jak stara się go usprawiedliwiać autor – „raczej z ulegania tłumowi niż z przekonania”). Natomiast wraz z rozkwitem swojej działalności literackiej w latach trzydziestych XX wieku rzeczywiście zaczyna się wyraźnie oddalać od obozu narodowego. Jeszcze w 1933 roku, pisząc manifest ideologiczny – czy raczej antyideologiczny – do pierwszego numeru „Sygnałów”, odwołuje się do światopoglądowej neutralności, cytując na wstępie Stanisława Brzozowskiego: „Jesteśmy w stanie zrozumieć wszystkie poglądy na świat, ale właśnie dlatego żaden nie może być naszym!”. Jednak z czasem, wraz z radykalizacją nastrojów w kraju, zwłaszcza po śmierci Józefa Piłsudskiego, czasopismo przyjęło kurs otwarcie lewicowy, który do wojny tylko zaostrzało.

Sam Hollender w 1938 roku wydał swoją jedyną powieść – satyrę pod tytułem *Polska bez Żydów*, w której opisuje fikcyjną przyszłość Polski, gdzie zamiast do wojny doszło do przejęcia władzy przez nacjonalistów, którzy w ramach programowego antysemityzmu wypędzili niemal wszystkich Żydów z kraju. W *Polsce bez Żydów* Hollender przygląda się, co by z tego wynikło,

nawiązując w parodystyczny sposób do nasilających się pod koniec lat trzydziestych XX wieku w Polsce tendencji słowianofilskich i neopogańskich. Szczytna idea książki nie broni jej jednak przed krytyką ze strony samego Tadeusza Lubelskiego – siostrzeniec Hollendera osobiście wskazuje na jej pośpieszne powstawanie, redakcyjne niedopatrzienia i stylistyczne niezręczności. Mimo nieuchronnego sentymentu wobec bohatera swojej książki autor pozwala sobie zauważyć, że Hollender przy pisaniu książki musiał inspirować się bardzo podobnym i stworzonym niedługo wcześniej dziełem austriackiego pisarza – co może jego zdaniem tłumaczyć, czemu *Polska bez Żydów* powstała tak szybko. Trzeba przyznać, że dzięki tego rodzaju krytykom autor książki zaskarbia sobie zaufanie potencjalnie sceptycznej czytelniczki, która początkowo mogłaby mieć wątpliwości wobec wersji wydarzeń przedstawianych przez kogoś tak bliskiego głównemu bohaterowi.

Oprócz powieści satyrycznej otwarcie zwalczającej antysemityzm Hollender opublikował przed wojną jeszcze rozmaite felietony i satyry. Obiektem jego żartów i krytyk była nie tylko endecja oraz bardziej radykalne frakcje narodowe, lecz także sanacja, kler czy mieszczaństwo jako takie. Wraz z wybuchem wojny ostrze jego satyry zwróciło się jednak przede wszystkim przeciw sowietom (głównie w okresie lwowskim w latach 1939-1941) oraz nazistom (zwłaszcza w okresie warszawskim od połowy 1941 roku, kiedy publikował w prasie podziemnej pod pseudonimem „Tomasz Wiatraczny”). Co ciekawe, jego postawa względem antysemityzmu zmieniła się w przeciągu przedwojennej dekady tak drastycznie, że w *Żydowskim abecadle* Roberta Stillera, zbierającym biogramy polskich pisarzy pochodzenia żydowskiego, znalazła się także sylwetka Tadeusza Hollendera. Autor *Hollendera tulacza* pisze w swojej książce, że po odnotowaniu tego faktu zadzwonił do Stillera, wyjaśniając, że ta kwalifikacja przeczy rzeczywistości, choć sam Hollender zapewne uznałby znalezienie się w takim gronie za zaszczyt. Interwencja Lubelskiego jednak za wiele nie dała, bo w wydaniu drugim biogram Hollendera pozostał. Wskutek tego poeta figuruje obecnie w internetowej *Encyklopedii PWN* jako „poeta, satyryk i tłumacz żydowskiego pochodzenia”. „Napisałem sprostowanie, bez skutku, zadufkowie z PWN wiedzą swoje” (s. 337) – skwitował to Lubelski.

Książka *Hollender tulacza* to rodzinno-historyczno-literacki kolaż składający się na wyjątkową monografię poświęconą dość zapomnianemu polskiemu poecie. „Gorączka archiwum”, w jaką niewątpliwie wpadł autor, zbierając materiały do książki – przepisując całe kilkustronicowe listy, przetykając snutą przez siebie opowieść skanami fotografii, pocztówek i szkiców oraz archiwalnych numerów czasopism – poskutkowało wielowątkową i zajmującą pracą

z zakresu historii kultury polskiej, w której rozmaite biografie znanych postaci przeplatają się, łączą i odciskają na sobie nawzajem ślady. Można zatem powiedzieć, że książka, która koncentruje się od początku do końca na jednej postaci, stała się paradoksalnie prawdziwie rizomatycznym, deleuzjańskim kłączem przeplatających się kontaktów towarzyskich polskiego środowiska literackiego lat trzydziestych XX wieku i okresu drugiej wojny światowej. Tadeusz Hollender stanowi dla tych kontaktów pewien punkt orientacyjny, jednak autor nie wzdraga się przez przytaczaniem krótkich życiorysów wiążącości pojawiających się na łamach książki postaci. Tym samym *Hollender tułacz* stanowi katalog towarzyskich kontaktów młodoliterackich, poetyckich współprac, przyjaźni i wzajemnych inspiracji, dla których tytułowa postać Tadeusza Hollendera stała się idealnym zwornikiem.

## Abstract

---

**Łukasz Kiełpiński**

UNIVERSITY OF WARSAW

*Family Collage with Poetry, War, and Antisemitism in the Background*

Review: T. Lubelski, *Hollender tułacz* (Hollender Wanderer), Kraków: Universitas, 2023.

## Keywords

---

Tadeusz Hollender, interwar Polish literature, literary biography, antisemitism, cultural memory